

Początek

Jestem bezrobotną dziennikarką. Mam czterdzieści pięć lat. Parę dyplomów i certyfikatów, które wiszą nad biurkiem. Nigdy nie dostałam długopisu ani zegarka w podziękowaniu za wysiłek, jaki włożyłam w swoją pracę. Moje zmarszczki zaczęły się przenosić przez ekran telewizji. Komuś to przeszkadzało. Moim widzom chyba nie. Zwolnili mnie tak, po prostu, po piętnastu latach wkładania energii, wysiłku i realizowania moich pomysłów dla kogoś. Obraziłam się na świat. Od pół roku siedzę w domu. Oglądam seriale, ćwiczę pilates i jogę, dużo czytam. Jeden serial nawet mi się spodobał. Jestem pod wrażeniem Jose Manchego i jego żony, która nigdy się nie dowie, że zdradzał ją z Juanitą i brzydką Laurą. Ona go nie zdradzała, ale myślała o innych. To też zdrada.

Coś się jednak zmieniło w moim życiu. Może wpływ na to miało feng-shui, którym zainteresowałam się z nudów. Sztuka feng – shui odnosi się do sfer życia, na które jako ludzie możemy mieć wpływ. Kształtując odpowiednio kierunek „ti” oraz „ren” zyskujemy odmianę swojego losu. Kupiłam kilka symboli, które chyba powiesiłam nie po tej stronie, co powinnam, bo nic się nie zmieniło. Czekałam na propozycję pracy i oglądałam codziennie program telewizyjny, który stworzyłam, a jakaś młoda cipka zarzynała go na moich oczach.

A więc poczytałam i dowiedziałam się, że moje feng-shui to wszystko, co skierowane na północny zachód. Wszystko, co skierowane w innym kierunku, to porażka.

Przewiesiłam gadzety i zdjętko mojego męża w tym właśnie kierunku. Czy bardziej mnie kocha - nie wiem.

Mateusz jest poważnym biznesmen. Prezesem spółki „Matela”.

Ładna nazwa, kobieca. Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu pięciu lat. Udanym? Czasami strzelamy fochy, a czasami nie. To, co dzieje się w naszym życiu teraz, to niezły scenariusz na serial polsko - brazylijski. Poskładałabym z tego tysiąc trzysta odcinków.

Byłam pod wielkim wpływem brazylijskiego serialu o seniorze Manchego, dlatego Marysię, naszą służącą z Bzowa, nazwałam Carmen. Taka walka z nudą.

Ten stan sprawiał, że kłóciliśmy się z Matim przynajmniej raz w tygodniu. Nie było o co, tak naprawdę, ale wydawało mi się, że wszystko jest przeciwko mnie. Sama tworzyłam klimat, w którym nie potrafiłam się odnaleźć, więc zaczęłam wymyślać swój nowy scenariusz na życie. Długo nie wiedziałam o co mi chodzi. Po pół roku chyba jednak przyzwyczyłam się i pokochałam ten czas. Nazwałam ten stan, swoją prywatną brazyliadą.

ODCINEK

„Czas na zmiany”

- Znowu stawiasz pasjansę Ela? Popraw mi krawat. Mam spotkanie z zarządem. Spóźnię się.
- Zarząd ma jakieś imię? - spytałam Mateusza.
- Foch? Znowu? - zaczesywał nażelowany pióropusz i czyścił paluchem zęby. Ohyda.
- Kiedy wrócisz Mati? - nie odrywałam wzroku od kart, bo nie dało się patrzeć na ten poranny cyrk.
- Nie wiem, jak się przedłuży, to dam ci znak.
- Jak się wydłuży, to też daj znak - podniosłam wzrok i widziałam, że jest zmieszany.
- Ela, proszę cię. Te twoje żarciki już mi się przejadły.

Mateusz codziennie rano odbywał ten sam rytuał. Błękitna koszula, żel na włosy i kretyński czerwony krawat. Zawsze się spieszył. Po prostu petarda: szafa, lustro, toaletka, żel, teczka, kurteczka i już go nie było. Prawie, bo zatrzymał się w drzwiach i wrócił do lustra.

- Zrób dzisiaj paellę. Albo nie, same krewetki zrób. Lustro przetrzyj, bo zniekształca. Żelu zabrakło. Zadzwoń do Kwiatkowskiej.

Kwiatkowska, to nasza sąsiadka. Dystrybutor kosmetyków.

- Po co mi o tym mówisz? - spytałam i wypięłam pupkę w jego stronę. Nie zauważył, przeleciał koło mnie.
- Czas... Czas mnie goni. Ostro i do przodu! Jak się prezentuję? He? Dam im dzisiaj popalić. Nie siedź godzinami przy tym komputerze i zostaw te karty. Miłego dnia.

Od pół roku życzy mi miłego dnia! Czasami mówię do siebie. Mój monolog wewnętrzny, który się musi uzewnętrznić jakoś. Podniosłam żel, żeby sprawdzić faktyczną zawartość i monologowałam:

„Urocze. Kosmetyki Kwiatkowskiej. Wiem do czego pijesz, Mateuszu. Dystrybutora chce ze mnie zrobić. Kretyn. *Witam, doniosłam panu pachnidła na lata całe. Polecam. Donia Ela*”.

Spojrzałam na siebie w lustro i stwierdziłam, że faktycznie zniekształca.

Biodra jakby szersze, znalazłam dwa włosy na brodzie, nową zmarszczkę i nowy pieprzyk na czole.

„Ja pitolę był wcześniej czy nie? Czegoś ci brakuje Elu. Żelu? Miłości? Radości?” - spojrzałam w lustro, a z tyłu, za mną, stał wielki hiszpański kok we włosach.

Carmen moja służąca z Bzowa zawsze pojawia się cicho, bezszelestnie. Najpierw obserwuje przez dziurkę od klucza, co się dzieje. Potem pojawia się, stoi, patrzy i czeka.

- Carmen weszłaś tak cichutko. Nawet nie szurasz kapciami. Brawo. Co tam?

- Przyniosłam korespondencję dla pana Mateusza.

- Połóż proszę. Ładnie wyglądasz.

- Dziękuję.

- Pięknie... Naprawdę! - mam nadzieję, że nie wierzyła w to co mówię, bo codziennie wyglądała identyko.

- Pani śniadanie... - ten piszczący głos drażnił mnie coraz bardziej.

- Postaw - ugryzłam rogalika, który od razu skojarzył mi się z zapomnianą, męska częścią ciała i poczułam się lepiej.

- Jak ci się Carmen układa z mężem? - pytałam, bo coś trzeba było mówić.

- Zmienił się - odpowiedziała nieśmiało.

- Postarzał się? - ciamkałam z rozkoszą.

- Nie, nawet nie to. Ciągle czegoś szuka.

- Czego taki Rysiu może szukać. Czystych majtek? Wódki? Oni bez przerwy czegoś szukają. Oj tam. Znajdziecie, każdy w końcu znajduje - konwersowałam, czując maselko orzechowe i ciepłko w ustach.

- Oby nie w kimś innym.

- Tak Carmen. Każdy ma swoje problemy. Straciłam pracę. Skończyłam czterdziestkę i nie mam głowy do tego, żeby rozumieć. Możesz iść - ciamkałam - Przejedź tylko szmatką posążek Buddy. Bo może to przez ten kurz przestałam być ukochanym dzieckiem Wszechświata.

- Pan Mateusz, gdyby to słyszał byłoby mu trochę przykro. Kocha panią.

- Szczęście już mnie dawno opuściło. Mam czterdzieści pięć lat i żadnych perspektyw na przyszłość. Dziennikarka roku to przeszłość. Nie pojadłam. Co mamy jeszcze dobrego w lodówce?

- Wszystko co pani potrzebuje, żeby obejrzeć swój program. Po co pani to robi? Trzeba się ogarnąć i iść dalej - mówiła, przecierając posążek uśmiechniętego Buddy.

- Jak mam iść dalej? Jak jakaś młoda cipka zarzyna moje medialne dzieciątko - chodziło o mój program telewizyjny, który stworzyłam. Codziennie go oglądałam, płakałam, popijałam, obzerałam się. Musiałam. To było silniejsze ode mnie.

- Po co pani na to patrzy?

- Carmen, proszę cię. Przynieś lody, chipsy i kielicha. I włącz ten telewizor.

- Dobrze, ale nie zmusi mnie pani, żeby oglądać go z panią. Proszę bardzo.

Włączyła. Nie wytrzymałam presji. Młoda, ładna. Musiałam sobie nalać. Wcześniej tego nie robiłam, ale w tej sytuacji... Bolało.

- Szanowni państwo w dzisiejszym programie „Kawa czy kawa z cukrem”, będziemy gościć znanego terapeutę - pana Vana.

- Jesteś zaszrańcu - gadałam do telewizora - terapeuta Van? Skąd go wytrzasnęłaś? Amatorka!

- To trudne - mądrował się pan Van - trzeba zmienić nawyki myślowe. Zmiany muszą dokonać się w nas samych. Co we wewnątrz, to na zewnątrz.

- To prawda - dodałam swój komentarzyk - jeśli w środku wygląda ten pan tak jak na zewnątrz, to gratuluję.

- Każdą terapię zacząłbym od zadania sobie pytania: czego tak naprawdę chcesz? Jeśli znasz odpowiedź na to pytanie, wszystko się zmienia, nakierowuje się samo.

- Że tak powiem - wiedziałam, co powie. Zawsze wiedziałam.

- Że tak powiem. Nasi rodzice już od dzieciństwa wpajali nam złe nawyki myślowe. Powiedzenia typu: *jesteś niedobry, dzieci i ryby głosu nie mają*, wyrobiły w nas nawyk autodestrukcji.

- Zaszraniec - wytknęłam język do telewizora.

- Szanowni państwo. Nasz gość będzie odbierał telefony jeszcze przez pół godziny. Trzej pierwsi telewidzowie, którzy się do nas dodzwonią, będą mieli szansę na rozmowę na antenie i otrzymają w prezencie kosz pełen niespodzianek.

- Wolałabym torbę z twoją dedykacją. Dlaczego zgasiłaś telewizor? Carmen!

- Pan Mateusz podjechał - wiedziała, że cierpię.

- Jak to, o tej porze? Zabieraj to żarełko. Daleko nie chowaj